

Michał Rydlewski: Coca-Cola, sometimes war

Autorka milcząco stawia pytania: jakie mamy prawo panować nad innymi? Dlaczego uważamy, że my, „samozwańcza arystokracja świata”, jesteśmy lepsi? Co deklarujemy, i w co wierzymy, że dajemy reszcie świata, a co naprawdę im przynosimy? Czy przemoc, rzecz jasna w pluszowym przebraniu, to jedyny towar eksportowy Zachodu? – pisze Michał Rydlewski w recenzji książki Marty Kozłowskiej „B.Bomb”.

B.Bomb to druga powieść Marty Kozłowskiej. Pierwszą była znakomita *Stopa od nogi*. Tym, co łączy obie książki jest mocno podszyty antropologicznym talentem do obserwacji namysł nad kulturą współczesną: tego, co się z nami jako ludźmi dzieje, czemu ulegamy, dokąd zmierzamy, jak się nas hoduje. W końcu: jaką nową postać przyjmie świat, kiedy zrzuci z siebie skórę tego, co było dotychczas? Kim się staniemy?

W obu książkach autorka bezlitośnie obnaża płycizny i głupoty naszego ponowoczesnego świata, jawiącego się jako „próżniowy świat” (określenie Bartosza Jastrzębskiego), z którego znikają tradycyjne kierunkowskazy, np. religia i tradycja, lecz „nowe” jeszcze nie nastąpiło. W takim ujęciu mamy do czynienia ze światem zmieszanym i wstrząśniętym, światem hybryd, swoistym interregnum sensu, zagubienia, lęku, rozpadu, entropii, zaburzonych tożsamości. To świat, w którym dotychczasowy porządek zostaje zastąpiony zachodnią popkulturą: zbiorowością ludzi i rzeczy, przy czym ci pierwsi to

niszczyciele świata, gdyż dają namiastkę życia miast autentycznego jego przeżycia, a te drugie są tak naprawdę nikomu niepotrzebne i stanowią jedynie element konsumpcyjnego przymusu „bycia sobą”.

Taką diagnozę naszemu światu stawia autorka na podstawie pozszywania różnych heterogenicznych elementów pochodzących z dnia codziennego, zarówno tego realnego, jak i wyobrazonego, przeszłego, symbolicznego, telewizyjnego czy wirtualnego. Przenikają się one i w efekcie tworzą nowe imaginarium kultury, w którym jesteśmy wszyscy, jak w zupie, zanurzeni. Marta Kozłowska potrafi w szczególności kultury współczesnej, zazwyczaj znajdującemu się na peryferiach i umykającemu naszemu poznawczemu wzrokowi, zobaczyć jej całość, dodatkowo tak go wyostrowając i przerysowując, by uczynić ten szczegół wręcz tej kultury metaforą.

Trudno odmówić autorce zmysłu obserwacji, który umożliwił jej zjadliwą krytykę kultury współczesnej. Kultury, co warto mocno podkreślić, obniżającej rangę sacrum i religii. Ta cecha dystynktywna współczesnej kultury zachodniej jest dla refleksji *B.Bomb* kluczowa, o czym świadczy choćby okładka książki złożona z krzyża, księżycy i słońca.

Piszę o tym dlatego, że w kilku recenzjach obu książek (pozytywnych), szczególnie *B.Bomb*, nie jest to wyraźnie odnotowywane. W uchwyceniu istoty drugiej książki Kozłowskiej najbliższym był – moim zdaniem – Łukasz Żurek, który napisał, iż jest to książka o mechanizmach kulturowo-ekonomicznej globalizacji zataczającej coraz szersze kręgi i dążącej do podporządkowania nowych terenów. „We are all Americans” – pisze Kozłowska, wykorzystując słynne słowa

piosenki. Streszcza tym samym zachodnią misję przerobienia świata na swoją modłę oraz pokazuje rozrywkę jako jeden z elementów wojny o symboliczno-kulturową hegemonię. Można by także zaśpiewać, za niemieckim zespołem Rammstein: „We are all living in Amerika, Coca-Cola, sometimes war”. Ten bogaty intertekstualny teledysk obrazuje, o co chodzi Kozłowskiej: potworne ujednoczenie świata oraz prowadzenie wojny nie tyle pociskami, co konsumpcyjnymi artefaktami. Popkultura jawi się zatem jako wojna prowadzona innymi środkami (teza bliska szkole z Birmingham).

A zatem zgoda z Żurkiem, o tym jest ta książka, ale moim zdaniem taka interpretacja zazębia się z pytaniami fundamentalnymi, które milcząco stawia autorka: jakie mamy prawo panować nad innymi? W imię czego i kogo sprawować kulturowo-ekonomiczną hegemonię? Dlaczego uważamy, że my, „samozwańcza arystokracja świata”, jesteśmy lepsi? I czy naprawdę jesteśmy lepsi? Co deklarujemy, i w co wierzymy, że dajemy reszcie świata, a co naprawdę im przynosimy? Czy przemoc, rzecz jasna w pluszowym przebraniu, to jedyny towar eksportowy Zachodu? Kim jesteśmy w ich oczach, a kim w swoich? I kto widzi nas lepiej: my sami czy oni?

Akcja dzieje się w Iraku w czasie misji, na którą wyrusza Seba, chłopak z prowincji, który chce się z niej wyrwać i trochę zarobić

Nim przejdę do odpowiedzi na te pytania, powiem kilka słów o miejscu akcji, bohaterach i fabule powieści. Akcja dzieje się w Iraku w czasie misji,

na którą wyrusza Seba, chłopak z prowincji, który chce się z niej

wyrwać i trochę zarobić. Jego przełożonym jest Generał Deryl Melville, szef misji, który dokłada starań, aby osiągnąć zdolność operacyjną, gdyż słowiańscy żołnierze, tacy jak Polak Seba czy inni Bułgarzy i Macedończycy, wymagają najpierw zaznajomienia się z cywilizacją, którą będą zaszczepiać Arabom. Ma to zapewnić cały kompleks groteskowych działań, począwszy od kursu salsy (fragmenty te można czytać jak antywojenną satyrę). Po stronie Zachodu jest także Tweed, Anglik, podwładny Generała. Po stronie przeciwnej mamy również kilku bohaterów: Malika Al-Suriego i Kadiego, którzy postrzegają misję jak wyprawę krzyżową śmierdzących, zakutych w stal Chrystolubców. Ostatnim bohaterem jest John Rambo, który przypatruje się światu wszędzie tam, gdzie są telewizyjne odbiorniki, przy czym w odróżnieniu od innych bohaterów jest on refleksyjny i świadomy swojego, by tak rzec, wymyślenia. Dla niego, jak mówi przecież w prawdziwym filmie ten bohater, wojna się nie skończyła. Okazuje się, że dla wszystkich innych również nie. Fabułę książki można streścić jednym zdaniem: dotyczy działań podejmowanych przez obie strony konfliktu, działań szpiegowskich, potencjalnych akcji dywersyjnych, które na wyższym poziomie pokazują zderzenie dwóch różnych światów, łącznie z odmiennym podejściem do sacrum.

Po której ze stron staje Marta Kozłowska? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, należy zarysować diagnozę Zachodu, jaka wyłania się z książki *B. Bomb*.

Bezlitośnie punktuje Zachód „mężczyzna w typie Peruna”, czyli Lew z Czarnego Alabastru, Władca Międzyrzecza, będący prawdopodobnie ściganym i ukrywającym się Saddamem Husseinem. Gdy spotyka włóczącego się po pustyni Anglika Weeda (początkowo Tweeda, lecz w toku książki gubi on swoje „T”), wygłasza przemowę, w której krytykuje

m.in. kapitalizm (człowiek bez pośrednictwa pieniądza nie korzysta z pracy swych rąk), demokrację (tyrania większości), wolność słowa (to cenzura), postęp (komercjalizacja sacrum). Ale najważniejszym jego zarzutem w stosunku do Zachodu jest fakt, że jego przedstawiciele są hipokrytami, gdyż nie znalazłszy broni masowego rażenia, o które był podejrzewany Władca Międzyrzecza (a przypomnę, był to pretekst ataku na Irak), dysponują swoją własną. W dodatku już używaną na masową skalę, o której nie mogłoby się śnić prowincjonalnemu dyktatorowi.

Tą bronią Zachodu jest tytułowa B. Bomb. To bomba biologiczna, rodzaj broni masowego rażenia, w której „ładunkiem bojowym są osobniki ludzkie zwane patogenami”. Może ona służyć do ataku na pojedyncze osoby, oddziały wojska, a także na ludność cywilną. Jest tania w produkcji i bardzo skuteczna, gdyż „W roli patogenu sprawdzi się każdy osobnik ludzki, a zastosowanie niewielkich modyfikacji kulturowych dodatkowo zwiększa jego zakaźność i moc chorobotwórczą”. B. Bomb jest słabo wykrywalna na początkowym etapie i ma krótki okres inkubacji. Po czym rozpoznać atak b. bombowy? Po pojawieniu się białych smug na niebie po przelocie samolotu, po pomorze religii i zwierząt gospodarskich, dezorientacji i dezorganizacji społecznej, odporności na leczenie przez dotychczasowe autorytety. Ostatnim etapem jest epidemia kulturowa objawiającej się powszechnymi zachorowaniami z powodu tęsknoty za wyższą stopą życiową, rojeń na temat Złotego Wieku i Ziemi Obiecanej, a następnie masowej migracji.

Mówiąc wprost, Kozłowska obarcza winą Zachód o symboliczne, a co za tym idzie, realne niszczenie innych kultur, gdyż jako antropolog traktuje ona symbole „na serio”, by tak rzec, wszak to one są kośćcem kultury. Oskarża o to, że nie wystarczy im przystrzyganie własnego

trawnika, lecz nachalnie pcha się tam, gdzie nikt ich nie chce, a odgłosem amerykańskiego powitania jest seria z karabinu. O to, że są próżni i wywyższają się nad innymi, że ich „misja cywilizacyjna” kończy się niewolnictwem cywilizowanych mających im podlegać; że żyją bez historii i nie dbają o to, co będzie po nich. Być może najpoważniejszym zarzutem wobec kultury Zachodu jest to, że zamienia wszystko, czego dotknie, w obiekty pozbawione życia, w tym np. muzealne eksponaty, co Marta Kozłowska oddaje genialną metaforą pustyni jako wysypiska martwych idei, wierzeń, symboli, duchów, w których kiedyś było życie, ale zostały zniszczone przez Zachód. Jedyne co pozostaje, to przyczepić im karteczkę magazynową z numerem ewidencyjnym opisującą czym było. Dotyczy to także religii. Dawne wierzenia trafiają do British Museum w ramach „zapowiedzianej niedawno przez Izbę Lordów długofalowej strategii ograniczania nadpopulacji istot nadprzyrodzonych”.

Zachód to kultura śmierci, gdyż pozbawiająca życia, różnorodności, inności. Wszędzie, gdzie pojawią się jej patogeny, czyli ludzie-bomby Zachodu, dochodzi do przekształcenia rzeczywistości w Piekło Tego Samego (określenie Byung-Chul Hana), a świat zostaje zaśmiecony indywidualistyczną ofertą Ikei. W świecie tym każdy myśli, że jest różny od innych, wyjątkowy i oryginalny, ale, twierdzi Marta Kozłowska (analogicznie jak Erich Fromm), nic bardziej mylnego – wszyscy są dokładnie tacy sami, każdy jest bowiem indywidualny w ten sam sposób, jak z matrycy. Proces anihilacji różnic obserwuje z ekranów telewizora Rambo, bohater masowej wyobraźni, który jest potwornie znudzony tym, że wszędzie jest tak samo, że świat coraz bardziej składa się z nie-miejsc niż oswojonych i zadomowionych przestrzeni.

W takim ujęciu Zachód to kultura kanibali pożerających symbole Innych. Świetnie uchwycił to Denis O'Rourke w filmie etnograficznym pt. *Cannibal Tours*. Takim patogenem mogą być żołnierze, ale także portretowani przez reżysera turyści, którzy nawet nie wiedzą, że stwarzają „egzotyczne getta do oglądania” mające służyć ich przyjemności. Uważam jednak, że nie ma lepszego filmu obrazującego tego, czym jest patogen w rozumieniu Marty Kozłowskiej, niż nauczycielka w *Konopielce* Edwarda Redlińskiego: wysłanniczka postępu i nowoczesności w świat „tutejszych” Taplarskich. To jej przybycie oraz styl życia, w którym „nic nie jest święte” oddziałuje na Kaziuka i w efekcie niszczy jego magicznie zespolone ze światem Bycie.

Patogenem nie muszą być jednak postaci realne, lecz mogą nim być także ikony popkultury, jak np. mafioso Vito Corleone, bohater *Ojca chrzestnego*, Marlon Brando z *Dzikiemu* (co widać w teledysku niemieckiego zespołu), czy idealnie piękna twarz z okładki kolorowego magazynu dla kobiet. Twarz, powielana przez chirurgów plastycznych nie tylko w kręgu zachodnim ale i np. w Afganistanie. Bardzo modna swojego czasu stała się tam korekta „afgańskiego” nosa u dziewczynek i młodych kobiet z bogatych rodzin plemiennych arystokracji. Nie chodziło wcale o estetykę, ale to, żeby straciły znaki swego pochodzenia etnicznego i były bardziej „białe”, w domyśle lepsze. To nic innego jak ujednolicenie świata, tutaj w postaci wyglądu, wszak wszystkie kobiety po tych operacjach są w zasadzie identyczne. To także utrata indywidualizmu, wszak twarz w naszym kręgu kulturowym jest jej znakiem, oraz prowadzenie wojny bez jednego wystrzału. Jej celem jest wyrobienie w „reszcie świata” poczucia wstydu, uczucia bycia gorszym, estetycznie i moralnie ułomnym. Takimi ludźmi łatwiej zarządzać. *You Wanna Be Americano*.

Co więcej, misja cywilizacyjna, jaką prowadzi Zachód w osobie Generała Melville'a dotyczy nie tylko Bliskiego Wschodu, ale i Europy Środkowo-Wschodniej, której przedstawiciele, jak np. Seba, są traktowani jako co prawda mniej barbarzyńscy od Arabów, ale nie dość ucywilizowani. Poza tym ich śmierć zupełnie Generała nie obchodzi, a giną oni w książce kilkakrotnie w groteskowych okolicznościach, co ma pokazać jak niewiele znaczą „z amerykańskiego punktu widzenia”. O ile Seba daje się ucywilizować, widzi w Generale swojego idola, to europejskie ludy peryferyjne (Macedończycy) zupełnie jej się nie poddają. A zatem Marta Kozłowska komentuje misję cywilizacyjną nie tylko poza bazą, ale i w bazie. Generał Melville każe Sebie, swojemu ordynansowi, zwracać się do siebie per „Panie”, bez „Generała”, co pokazuje, iż zamienia swojego koalicjanta w służę i niewolnika.

*Autorka nie zostawia
czytelnika w sytuacji
beznadziejnej, albowiem – w
pewnym momencie książki –
przemyka dosyć
niezauważenie dla czytelnika
rodząca się gwiazda
betlejemska*

Być może jeszcze
mocniejsze
skojarzenie
względem
rozpoznania
charakteru Zachodu
jest obecne w
powieści Marty
Kozłowskiej. Akcja
książki rozgrywa się
w ciągu czterdziestu
dni. Jeśli dodać do

tę, że dzieje się ona na pustyni, to skojarzenie w czterdziestodniowym pobycie na pustyni Jezusa oraz jego kuszeniem przez Szatana jest jasne. Tylko która ze stron jest diabelska? Przypomnę, że Szatan kusi głodnego, poszczącego Jezusa chlebem,

który staje się symbolem konsumpcji. „Nie samym chlebem człowiek żyje”, mówi Jezus, pokazując, że człowiek nie powinien mierzyć wszystkiego miarą posiadanych dóbr materialnych. Szatan kusi także władzą i panowaniem nad drugim człowiekiem, pokazując Jezusowi „wszystkie królestwa świata” i obiecuje mu je w zamian za wyrzeczenie się Boga. Taka władza daje poczucie wszechmocy, daje kontrolę i możliwość budowania własnej potęgi kosztem innych. Inni muszą nam się kłaniać, gdyż to my stajemy się „bogami”, nie widząc jednak tego, że tak naprawdę to my kłękamy przed „bogami” i idolami tego świata. Jeśli dobrze rozpoznałem intencje autorki, to Wschód ma klęczeć przez Zachodem, przy czym jest to Zachód, który wyrzekł się Boga i dał się skusić. To on wyrządza wiele zła. Autorka *B. Bomb* nie zostawia jednak czytelnika w sytuacji beznadziejnej, albowiem – w pewnym momencie książki – przemyka dosyć niezauważenie dla czytelnika rodząca się gwiazda betlejemka. Czyżby to swoiste wyznanie wiary autorki?

Co więcej, kultura zachodnia niszczy nie tylko inne kultury, ale i samą siebie. Przykładem może być to, co współcześnie robi się z religią, czyli zamienia ją w pseudo-coachingowo-psychoterapeutyczny bełkot, ofertę uzdrowienia siebie, będącą jedną z wielu – sferę użytkową, gadżet możliwy do kupna. Nie jest to prawdziwe „Życie w cieniu Boga”, jakiego pożąda Kadi, wołący „przedtem” od „potem”. Czy mu się to uda? Kadi wierzy, że tak, że wiara pomoże mu wygrać z podrzucającym kukułcze jaja Zachodem. Kłopot w tym jednak, że i u niego już *B. Bomb* jest na etapie niezauważanego rozplenienia, czego widowym znakiem przejęcie zachowań i słów filmowego mafiosa oraz zachwyty nad kuchnią włoską.

Czyżby, sugeruje Kozłowska, przed *B. Bomb* nie ma ucieczki? Żadnego schronienia? Autorka jest podwójnie świadoma tego pytania. Raz, na poziomie samej akcji, dwa, na poziomie własnego pisania, o czym świadczy ostatnia strona książki będąca opisem numeru ewidencyjnego (po części) samej książki.

Nie chciałbym, ażeby książka Marty Kozłowskiej skończyła na pustyni jako zapomniana. Nie zasługuje na to, albowiem powieść można wpisać w nurt literackiej krytyki kultury. Krytyka to nader oryginalna, gdyż będąca wynikiem połączenia antropologicznego zmysłu obserwacji, społeczno-politycznej analizy wywiadowczej (autorka była analitykiem wywiadu) oraz religijnej wyobraźni zamkniętej w futerale surrealistyczno-absurdalno-groteskowym.

To, że zachęcam do lektury *B. Bomb* jest oczywiste, wszak książka Kozłowskiej to dla mnie, właśnie, bomba. Zachęcam jednak do lektury, mając przed oczyma kilka obrazów, które mogą potwierdzać diagnozę autorki, pomóc przejść z narracji groteskowo-surrealistycznej do kwestii całkiem poważnych wymagających głębszego namysłu.

Obraz pierwszy, najświeższy. Kilka miesięcy temu na ekranach telewizorów mogliśmy obserwować odlatujących z lotniska z Kabulu Amerykanów, którzy po dwudziestu latach obecności w Afganistanie, w upokarzający sposób wycofali się z tego kraju (zostawiając setki ton sprzętu wojskowego). Kraju, przypomnę, zaatakowanego w poszukiwaniu Osamy ibn Ladena, który został przez nich zastrzelony w Pakistanie w 2011 roku. Operacji jego zabicia nadano kryptonim „Geronimo” od imienia indiańskiego wodza, pokazując tym samym, że

Inny musi umrzeć, a opozycja my – oni trzyma się mocno. Fakt zabicia Saudyjczyka ogłosił prezydent Barack Obama w iście westernowym stylu (brakowało mu tylko koltów przypiętych do pasa), a spora część Amerykanów wyległa na ulice i tłumnie świętowała ten fakt. Widok, który na Bliskim Wschodzie jest dla nas wyrazem barbarzyństwa, tu został przyjęty jako normalny. Nic jednak nie jest w stanie przebić westernowej retoryki Paula Bremera, który po schwytaniu Saddama Husseina, jak szeryf, stwierdził: „Ladies and Gentlemen, we got him”. Słowa te mogłyby być mottem książki Paula Virillio pt. *War and Cinema. Logistics of Perception*. Oto Ameryka w pigułce: pomieszanie fikcji (kina, westernu) i rzeczywistości (wojny). Niech żyje pochod symulaków! Rozerwanie relacji pomiędzy znaczoną a znaczącą to ulubiona zabawa Zachodu.

Obraz drugi: wycofanie amerykańskich wojsk z Iraku. Co do wojny w tym kraju, „głupiej i niemoralnej”, jak trafnie określił ją Michel Houellebecq, to można zapytać, czym była ta wojna w deklaracjach Amerykanów, a co faktycznie po sobie pozostawiła. U Marty Kozłowskiej odnajdujemy dwa fragmenty, swoistą klamrę spinającą całą opowieść, która ukazuje prawdę o tym konflikcie od początku opartym na kłamstwie wywiadu (w Iraku nie było broni masowego rażenia). Pierwszy to przemowa Generała Melville’a z początku książki, który jasno określa cele misji: „[...] zapewnienie bezpieczeństwa i stabilizacji [...] szeroko rozumiane wsparcie dla ludności cywilnej [...] pomoc w odbudowie infrastruktury, a także demokratyzację państwa [...] wolność, dostatek i bezpieczeństwo [...] misja ma charakter pokojowy, owy, owy, owy”. Przypomina to jako żywo radziecką, komunistyczną propagandę płynącą z zacinającego się głośnika. Drugi fragment pokazuje, o co w tej wojnie chodziło i kto ją wygrał. W zakończeniu powieści, Seba, pytany przez kolegę o to, „kto w końcu wygrał wojnę?” odpowiada: „Oczywista, że my”. Czy Irakijczycy też wygrali? Nie może

być inaczej, gdyż, tłumaczy Seba: „Łącznie przekazano [...] trzydziestą część zysków z obrotu tutejszą ropą naftową. – Daliśmy im trzy miliony dwieście trzydzieści tysięcy osiemdziesiąt jeden dolarów. Z groszami”. Zostali ograbieni ze swoich własnych zasobów, dostając za nie grosze.

Obraz trzeci: migranci z krajów objętych działaniami wojennymi oraz migranci ekonomiczni (od Iraku po Libię). To nic innego, w interpretacji Marty Kozłowskiej, jak ostatni etap działania B. Bomb. Mamy do rozwiązania problem, który sami stworzyliśmy, nie ma więc najmniejszego sensu obarczania nim tych, którzy pukają do naszych bram.

W jednym ze swoich mini-esejów Michel Houellebecq napisał: „Stany Zjednoczone Ameryki już nie są pierwszą potęgą światową, którą były przez długie lata, przez cały wiek dwudziesty. Teraz już nie są. Są jednak potęgą znaczącą, jedną z wielu. Niekoniecznie jest to najgorsza nowina dla Amerykanów. Natomiast to znakomita nowina dla reszty świata”. Myślę, że Marta Kozłowska by się z nim zgodziła.

Michał Rydlewski

Marta Kozłowska, „B.Bomb”, Instytut Literatury i Fundacja Lethe/Animi2, Kraków 2020.

Michał Rydlewski – doktor, etnolog i filozof, adiunkt w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Ostatnio wydał książkę „Scenariusze kultury upokarzania. Studium z antropologii mediów”.